

Zbigniew Łoś
Białystok.



.Nazywam się Zbigniew Łoś. Mój ojciec miał na imię Dominik, a matka pochodziła z rodziny Popków. Ojciec pochodził z Dobrzyniewa. Jego rodzina miała tradycje niepodległościowe. Mój dziadek /ze strony ojca/ był posłem do sejmu ustawodawczego jeszcze w roku 1920-tym. Natomiast ojciec posłował z ramienia Stronnictwa Ludowego w roku 1932-gim.

Nieco wcześniej rodzina Łosiów przeniosła się z Dobrzyniewa do wsi Zacisze w okolicy Dobrzyniówki i Rafałówki. Tam w latach dwudziestych założono osadę. Tworzyli ją młodzi rolnicy, którzy po ukończeniu szkoły rolniczej w dowód uznania ze strony rządu mieli prawo /otrzymali to prawo/ kupna obszarów nieużytków na tym terenie i do podstaw budowali /zakładali/ swoje gospodarstwa.

Działały tam różne koła. Było między innymi koło gospodyń wiejskich, straż pożarna, kółka rolnicze. Oni to wszystko własnymi rękami stworzyli i wybudowali. Z tego podobno tytułu - jak słyszałem ~~na~~ od starszych ludzi - po wkroczeniu Armii Radzieckiej na tereny Polski - zostali w pierwszej kolejności aresztowani działacze - a wśród nich mój ojciec - Dominik Łoś. Został on aresztowany jeszcze w październiku 1939 roku. Później mieliśmy o nim wiadomości w więzieniu przy ulicy Warszawskiej w Białymstoku. Następnie został wywieziony na teren Związku Radzieckiego i od tej pory wszelki ślad po nim zaginął. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, w którym budynku przy ulicy Warszawskiej w Białymstoku mieściło się wówczas wię-

zienie. Ponadto w tej sprawie należy dodać, że niektórzy ludzie twierdzili, że widzieli ojca w więzieniu w Mińsku. Podobno był wówczas bardzo chory. I to była naprawdę ostatnia wiadomość - nic więcej nie wiadomo.

Próbowaliśmy odnaleźć ojca po wojnie. W tym celu pisaliśmy do Polskiego Czerwonego Krzyża. Pisaliśmy do Moskwy i do Genewy. Odpowiedzi nie wniosły nic nowego, były negatywne. Opowiadano, że nie ma możliwości odnalezienia.

Natomiast całą rodzinę moją: moich czterech braci wraz ze mną, babkę i matkę oraz wszystkich mieszkańców wsi Zacisze z siedemnastu gospodarstw ~~W dniu~~ 10-go lutego 1940-go roku wywieziono przez NKWD do stacji kolejowej Żednia. To wszystko działo się nocą przy siarczystym mrozie. Ze stacji Żednia pociągiem towarowym powieziono w głąb Związku Radzieckiego, aż do Irkucka. W okolicy, w której przebywaliśmy, były dwa łagry. Nazywały się Kwitok i Toporek. Była też tam miejscowość Złota Górka.

Tam osiedlono nas całymi rodzinami w barakach. Jedzenia żadnego nie było ponad to, co niektórzy zdążyli zabrać ze sobą w drogę. W czasie pakowania się wszyscy zwracali główną uwagę na ciepłą odzież i pościel, bo jak już wspomniałem, w tym czasie był straszliwy mróz. O żywności myślano mniej - nie było na to czasu.

Z opowiadania mamy pamiętam znamienny moment: do naszego domu przyszli żołnierze NKWD-yści i dosyć długo czekali. Dopiero rano, kiedy już zaczynało świtać - przyszła do naszego domu sąsiadka / była z sąsiedniej wsi, z kolonii / i ze zdziwieniem wielkim powiedziała:

- To wy jeszcze o niczym nie wiecie? Całe Zacisze już wy-

wiezione. A wy tu jeszcze siedzicie?

Wówczas żołnierze powiedzieli: to prawda. Proszę się ubierać. I pojechaliśmy saniami do Żedni.

W Toporku na Syberii przebywaliśmy przez kilka lat. Z tego okresu praktycznie nie pamiętam nic. Później - po zawarciu układu Sikorski - Majski cała nasza rodzina: czterech braci, mama i ja wyjechaliśmy do Kirgizji. Było to w roku 1942, a może w 1943-cim. Zamieszkaliśmy tam w miejscowości Ługowaja, która mieści się w pobliżu miasta Frunze. Tam, w Kirgizji byliśmy do końca - do naszego powrotu wiosną 1946-go roku.

Mieszkaliśmy tam w kołchozie w lepiance z gliny. Izba była wielkości 2 metry na dwa może trzy metry. Umeblowanie tego pomieszczenia stanowiło łóżko, wymurowane z gliny. Na tym łóżku spaliśmy.

Jedzenie tam było jeszcze w miarę możliwe. Tak się dobrze złożyło, że mama pracowała w stołówce i stamtąd coś czasami przynosiła nam do domu. Natomiast inni zesłańcy oraz miejscowa ludność - po prostu głodowała. Tam w okolicy nie można było uświadczyć kota czy psa, żółwia czy świstaka, bo to wszystko stanowiło żywność przebywających tam ludzi.

W okresie letnim jedzenie było wzbogacane lebiodą i porzrywą oraz wszelkim zielkiem w miarę jadalnym. Stanowiło to podstawowe składniki do zupy, którą się odżywialiśmy. Były też momenty kanibalizmu. Tego wprawdzie nie widziałem, ale znam to z opowiadań, że praktycznie tak się działo. Głód tam panował straszliwy.

W czasie naszego pobytu w Kirgizji zmarła moja babka. W roku 1945-tym zaczęły krążyć wiadomości, że chyba będziemy wracali do Polski. Wówczas przeniesliśmy się w pobliże stacji kolejowej Ługowaja. Była to duża, węzłowa stacja, przez którą

przebiegały połączenia kolejowe łączące Frunze, Alma-Atę i Taszkient. Osiedliliśmy się w bezpośrednim sąsiedztwie stacji po to, aby nie przegapić transportu i być gotowym do wyjazdu w każdej chwili.

Moja babka, która zmarła i została pochowana w Kirgizji nazywała się Rozalia Popko. Ja jej nie pamiętam.

Właśnie w Rosji, konkretnie w Kirgizji przechodziliśmy różne choroby. Ja osobiście chorowałem na zapalenie opon mózgowych, brat na różę / miał różę w głowie - nie wiem, jak to fachowo się nazywa/. Pozostali bracia przechodzili tyfus i inne choroby.

Najbardziej popularną tamtejszą chorobą była tak zwana "cynga" czyli szkorbut, podczas której zęby stawały się czarne. Jedynym lekarstwem na tę chorobę były właśnie te zielska, które - być może umożliwiły nam przetrwanie. Przecież to było główne, jeśli nie jedyne źródło witamin.

Po powrocie do kraju - w roku 1946-tym w czerwcu - w roku 1951-ym zmarł ten z moich braci, który w Rosji chorował na różę. Pozostałością po tamtej chorobie była padaczka, która była bezpośrednią przyczyną jego śmierci.

Wróciliśmy do wsi Zacisze, gdzie zastaliśmy obraz nędzy i rozpacz. Okazało się bowiem, że po wkroczeniu wojsk /różnych podczas naszej nieobecności/ wszystkie pozostawione nasze mienie zostało rozgrabione. Nie było oczywiście żadnego inwentarza. Dom, który przed naszą wywózką był na ukończeniu został rozebrany i wywieziony do Zabłudowa i tam spłonął. Wszystko więc trzeba było zaczynać od nowa.

Nie bez znaczenia był fakt, że władze PRL traktowały nas, mieszkańców Zacisza wywiezionych do Związku Radzieckiego ja-

ko element wrogi. W dalszym ciągu ze strony władzy ludowej spotykały nas represje. Widoczne to było w czasie, gdy zaznaczyły się trudności z dostaniem się do szkoły średniej. Z tego powodu ja i mój brat starszy musieliśmy kończyć szkoły w innych miejscowościach. W białostockich szkołach średnich nie było dla nas miejsca.

Wprawdzie nikt nam tego oficjalnie nie powiedział, ale w życiorysie pisaliśmy, że w latach 1940-1946 byliśmy wywiezieni do ZSRR. Takie zdanie nas jednoznacznie dyskwalifikowało. To przesądzało o tym, że nas kwalifikowano jako element niepewny, burżuazyjny. Zresztą to nie był jedyny rodzaj szykan ze strony władzy ludowej. Ale jakoś to wszystko szczęśliwie przetrwaliśmy.

Pogrzebu swojej babki nie pamiętam. Znam to tylko z opowiadań mojego starszego brata. Z tego co mi mówiła została pochowana wprost na stepie, gdzie usypano zwykłą mogiłę. W tej chwili zapewne nawet śladu po niej nie ma. Podobnie też było w Toporku i Kwitku, bo tam niektórzy Polacy umierali. Tam żadnego cmentarza nie było. Grzebano wprost w ziemi tak, jak u nas się to czyni z padłymi zwierzętami.

Sprawy religijne tam nie istniały w tym sensie, że były przez władze zabronione. Okres "kirgiski" już nieco pamiętam i mogę stwierdzić, że tam nie było żadnych budowli sakralnych. Jedynie miejscowa ludność - panowało tam wyznanie mahometańskie - uczęszczała na swoje modły oraz w jakimś stopniu kultywowała swoje tradycje religijne. Modlili się na wschód czy zachód słońca.

Miejscowa ludność nie wierzyła, że po przejściu wojny jest w Polsce do czego wracać i radzili nam pozostanie tam. Mówi-

li: u was / to znaczy w Polsce / jest teraz straszna bieda, a u nas macie przynajmniej co jeść. Zostawajcie u nas. Oczywiście nikt w to nie wierzył, myśmy wszyscy chcieli wracać do Polski.

Mieszkaliśmy w Kirgizji, na dalekim zapleczu. Tam skutkiem wojny, która w tym czasie toczyła się w Europie był opisywany już głód. Wszystko to, co chodziło na czterech czy dwóch nogach było natychmiast zjadane. W Kirgizji - a ten okres już pamiętam dość dobrze - były głębokie doły nazywane przez miejscowych "stokomogilniki". Te doły były w formie silosów, dość głębokie - tam składano padlinę. Były wypadki, że z tych "stokomogilników" ludzie taką padlinę wykradali i zabierali do jedzenia. I wprawdzie tam działania wojenne bezpośrednio nie doszły, to jednak pośrednio ludność tamtejsza dotkliwie to odczuwała.

Jednym ze sposobów na przeżycie było zbieranie kłosów na polach, pozostawionych tam po żniwach. To było oczywiście zabronione. Cukier też zdobywaliśmy w sposób niecodzienny. Jesienią wożono buraki do cukrowni. Czasem z przejeżdżającego samochodu spadło kilka buraków, które natychmiast zabieraliśmy. Takie buraki gotowano w domu i na dnie garnka znajdowało się troszkę słodkiej mazi. Do tego dochodziło pół kilograma chleba na pracującego.

Dorośli pracowali w różnych miejscach, najczęściej oczywiście w kołchozie. Natomiast nas czwórka dzieci - ja już wówczas miałem już siedem lat - wiązaliśmy swetry do artelu czyli miejscowej spółdzielni. Zresztą wszyscy robiliśmy swetry na drutach. Zapłatę otrzymywaliśmy w formie produktów żywnościowych. W tamtejszych warunkach pieniądze po prostu nie fun-

kcjonował. Tam dominował handel wymienny: coś za coś.

Nie słyszałem, aby były jakieś wypadki ingerowania NKWD w życie zwykłych obywateli. Zresztą jakichś specjalnych powodów do tego nie było. Przy tamtejszych odległościach my wywiezieni nie mieliśmy żadnych szans na ucieczkę. Tu wszyscy byli związani biedą i wszyscy myśleli głównie o przetrwaniu.

Do Kirgizji wywieziono w czasie wojny dużo narodów kaukaskich. Byli wśród nich Czeczeńcy i Karaczaje. Jak słyszałem z opowiadań, były to narody bardzo bogate, mieli między innymi dużo złota. I właśnie oni czekali na jakąś odmianę ich losu czy nawet ustroju państwowego, tylko sami nie wiedzieli skąd to ma przyjść. Ich przybycie spowodowało, że w Kirgizji powstała znaczna mieszanina narodów.

Jeśli chodzi o szkołę, to najstarszy brat uczęszczał do szkoły. Pamiętam, że pisanie uczyli się na gazetach. Wówczas, tam do szkoły uczęszczała młodzież czy starsze dzieci, które miały już 10 - 12 lat. Uczęszczano na komplety, które były tajne czy półtajne. Tam uczono po polsku ale również i po rosyjsku. Kiedy wracaliśmy do Polski, to każdy z nas praktycznie znał biegle język rosyjski. Znaliśmy też troszkę słownictwa z języka kirgizkiego, czeczeńskiego czy karaczajskiego, bo naszymi kolegami z dziecinnych zabaw były dzieci z tych narodowości.

W sprawie poboru do Armii Andersa, a następnie Berlinga - troszeczkę pamiętam z Toporka, że starsze osoby odchodziły do armii polskiej. Pamiętam, że z tą sprawą należy łączyć osobę pani Aldony Trypuć / poszła do armii Andersa / oraz Zygmunta Szczepańskiego / już nie żyje / i Walendziuka, który zginął pod Lenino - już w pierwszym dniu bitwy. Tylko tych pamiętam.

Jeśli dobrze wiem, to chyba i Grzegorzczuk też z Armią Polską wchodził do Polski. Tego ostatniego nie jestem pewien.

Dokładnych dalszych losów tych osób nie znam dokładnie. Pani Aldona Trypuć z Armią Andersa przeszła przez Iran, Irak i była w Anglii, tam chyba została i tam chyba zmarła. Tu pozostał Maciej Trypuć - żyje i mieszka w Białymstoku. On w związku z tym ma jakieś dokumenty, które osobiście widziałem na wystawie w Muzeum Historycznym w Białymstoku.

Jeśli zaś chodzi o nazwiska rodzin, które zostały wywiezione na Syberię 10-go lutego 1940-go roku - to spróbuję po kolei:

1. - Zdanowicz Antoni, wrócił. Był kawalerem i chyba wywieziony sam, ewentualnie z bratem. Po powrocie zamieszkał w Zabłudowie. Jeszcze żyje.
2. - pani Markowska z córką / miała na imię Maria a córka chyba Cecylia/. Obie wróciły do kraju i mieszkały we wsi Zacisze. Obecnie pani Markowska nie żyje, a córka wyszła za mąż i mieszka obecnie w Warszawie. Mąż pani Markowskiej nie żyje.
3. - Rodzina Grzegorzczuków: rodzice i czworo dzieci. Wszyscy wrócili. Rodzice już nie żyją. Dzieci są rozsiane po kraju: w Warszawie, Białymstoku oraz w okolicach Dobrzyniewa / tam jest ich córka.
4. - Jakub Hancewicz z żoną i trójką dzieci. Wszyscy wrócili. Rodzice oboje już nie żyją. Dzieci - podobnie jak w przypadku Grzegorzczuków - są w Polsce.
5. - Józef Dąbrowski Józef wraz z żoną i dwojgiem dzieci z pierwszego małżeństwa. Żona p. Dąbrowskiego chyba zmarła na Toporku / miała na imię Józefa/.
6. - Sułkowski/Antoni/ wraz z siostrą i bratem. Był jeszcze

cze kawalerem. Wrócili wszyscy. Już nie żyją.

7. Józef Walendziuk - dwie jego siostry, matka i ojciec.

Ojciec był w Dywizji Kościuszkowskiej i zginął pod Lenino. Pozostali wrócili. Jego matka już nie żyje podobnie jak i jedna z sióstr. Pan Walendziuk nadal mieszka i gospodaruje na roli w Zaciszu.

8. Aleksander Puchalski oraz p. Puchalska - imienia nie pamiętam - wywieziono ich z całą rodziną. Tam było chyba z sześcioro rodzeństwa. Wszyscy wrócili. Pan i pani Puchalska już nie żyją. Dzieci żyją. Mieszkają w Białymstoku, Warszawie, Gdyni i gdzieś jeszcze.

9. Jan Hancewicz - wywieziony z żoną i czwórką dzieci. Jedno z dzieci zmarło na Toporku. Pozostali wszyscy wrócili. Oboje państwo Hancewiczowie nie żyją. Dzieci są: jeden w Białymstoku, Zabłudowie i na wsi w Dobrzyniówce. Tam też mieszka jedna z sióstr.

10. Antoni Cieśluk - wywieziony z żoną i dwojgiem dzieci. Wszyscy wrócili. Pan i pani Cieśluk nie żyją. Natomiast syn Ryszard i córka Cecylia mieszkają obecnie we wsi Protasy.

11. Aleksander i Maria Łoś - wywiezieni z trójką dzieci. Aleksander nie był akurat obecny w domu więc nie został aresztowany.

Ich matka / moja stryjenka / umarła na Toporku. Troje dzieci zostało jako sieroty. Przebywały w sierocińcu. Wrócili z powrotem. Aleksander Łoś już nie żyje. Cała trójka rodzeństwa żyje.

12. Emilia i Diminik Łoś - z nimi moja babka Rozalia z domu Popko - ojciec został aresztowany wcześniej - jeszcze w październiku / o czym już mówiłem/. Wywiezieni z dziećmi, z których ja byłem najmłodszy. Babka zmarła w Kazachstanie / dokładnie w Kirgizji /. Matka z nami /czwórką dzieci/ wróciła do Polski. O ojcu żadnych wiadomości nie mamy do dziś. Mój starszy brat Stefan zmarł w 1951-ym roku, mama zmarła w roku 1986-tym, jeszcze starszy brat zmarł chyba w 1987 r. Żyjemy tylko my dwaj: najstarszy brat Waldemar i ja - najmłodszy.

13. Albin Sokółski - z żoną i dwójką dzieci. Najmłodsza Cecylia urodziła się na zesłaniu w Toporku. Wrócili wszyscy w 1946-tym roku. Państwo Sokółscy już nie żyją. Drugi z kolei syn - Jerzy Sokółski w dalszym ciągu mieszka na Zaciszu i prowadzi gospodarstwo po ojcu. Jedna z jego siostr mieszka w Zaganiu, a druga w Białymstoku.

14. Lewonowski - był oficerem wojska Polskiego. Dokładnie nie pamiętam, kto z nim był wywieziony. Po wojnie nie wrócił na Zacisze, nie wiem gdzie jest i tym samym nic nie mogę o nim powie-

dzieć. Do Polski wrócił - to pewne.

15. Zygmunt Szczepański z żoną - wywiezieni z czwórką dzieci.

Wstąpił do Dywizji Kościuszkowskiej i do Polski wrócił z wojskiem. Rodzina wróciła w 1946-tym roku. Oboje już nie żyją, jedno z dzieci już też nie żyje. Jeden z ich synów umarł na Toporku. Brat i siostra żyją w Białymstoku. Jeden z braci mieszka w Łapach, ale urodził się w Polsce, po wojnie.

16. Państwo Trypuciowie - dwoje dzieci. Wrócili. Oboje już nie żyją. Syn - Maciej Trypuć mieszka obecnie w Białymstoku. Natomiast jego siostra Aldona - o tym już wspominałem - wstąpiła do Armii Andersa, przez Irak i Iran dostała do Anglii. Dalszych jej losów nie znam.

Toporek - często tu wspominany - znajduje się na północny wschód od Irkucka, jakieś 80 do 100 km od Irkucka. Tam w pobliżu znajdują się Kwitok i Złota Górka.

Powrót do Polski pamiętam już dobrze. Jechaliśmy w wagonach towarowych, po kilka rodzin. Bardzo dużo rodzin było pochodzenia żydowskiego. Wyjechaliśmy na początku maja 1946-go r. czy nawet pod koniec kwietnia. Podróż trwała trzy miesiące. Po drodze - co pamiętam - mijaliśmy Morze Azowskie i Charków. Była wiosna i kwitły drzewa. Przez Lublin i Warszawę dotarliśmy do Białegostoku.

Jechaliśmy bez konwoju z tym jednak, że na stacjach, na których pociąg się zatrzymywał, nie wolno było nam wysiadać. Były nawet i takie przypadki, że ktoś wyszedł z wagonu i poszedł do

lasu - w tym czasie pociąg ruszył i taki ktoś zostawał.

Na Syberii polowaliśmy na susliki / świstaki/. Były to stepowe zwierzątka, które żywiły się głównie dzikim szczypio-rem. Mieszkały w norach. Żeby go upolować, brało się do pojemnika wodę i wlewało do nory. Świstak musiał w tej sytuacji wyjść na powierzchnię. Mięso ze świstaka - jak pamiętam - było bardzo smaczne.

Polowaliśmy też na żółwie stepowe. Były tak silne, że ja - miałem wówczas siedem lat - stawałem na skorupie, a żółw chodził ze mną na grzbiecie. Zupy z żółwi były bardzo smaczne.

Notował: S. Sianko.